

ANIA

DĄBROWSKA-RAFAEL

chodzę za Nim

E-BOOK



WWW.ANNADABROWSKA.ORG

Tytuł: Chodzę za Nim

Autorka: Anna Dąbrowska

Wydanie pierwsze

Copyright © 2022 Anna Dąbrowska

All Rights Reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone. Ten e-book jest darmowy. Kopiowanie i udostępnianie fragmentów lub całego e-booka bez mojej zgody w celu czerpania korzyści materialnych jest kradzieżą. E-book można pobrać dla użytku osobistego, dzielić się nim z innymi w całości lub jego fragmentami za darmo w celu poszerzania Bożego Królestwa. Przy publicznym cytowaniu fragmentów Autorka prosi o podawanie źródła cytatu.

Bogu, który jest bliski

Spis treści

[Wstępnie | 4](#)

[Rozdział 1 | Żeby było nam blisko | 6](#)

[Rozdział 2 | Jest ponad nazwami | 16](#)

[Rozdział 3 | On leczy do końca | 23](#)

[Rozdział 4 | Moc krzyża i kochanie | 33](#)

[Rozdział 5 | Przeciwno handlowi ludźmi | 45](#)

[Rozdział 6 | Droga do Mozambiku | 53](#)

[Rozdział, który jest Twój | Chodź za Nim | 67](#)

[Rozdział, który jest wierszem | To już było | 69](#)

[Kim jest Ania | 75](#)

[Gdzie szukać Ani | 78](#)

[Ten e-book jest za darmo | 79](#)

Wstępnie

Tego e-booka miało nie być. Przyszedł mi do głowy po drodze. Myśl, że już przecież jest. Bo ten e-book to sześć tekstów publikowanych na moim blogu i jeden wiersz. Tekstów o mojej drodze - od spotkania w pokoju nastoletniej dziewczynki w małym polskim miasteczku aż po jej wyjazd do Mozambiku dwadzieścia lat później.

Gdyby to jednak była tylko moja historia, nie odważyłabym się nikomu jej opowiedzieć. Wierzę, że ona może być czyjąś pierwszą myślą. O Bogu w ogóle? Albo o Bogu inaczej niż dotąd. O bliskości z Nim. Może myślą o tym, dokąd On woła. Albo o wszystkich stratach. I o gojeniu ran po nich. O sposobach na kochanie drugiego człowieka. O kochaniu, które jest nie stąd. Nie wiem. Zostawiam to między Wami.

To moja historia. Twoja będzie inna. Przekonaj się jak to jest chodzić za Bogiem. Patrz jak On działa. Daj się zachwycić. Ale najpierw, idź.

Ania

Rozdział 1

Żeby było nam blisko

Odkąd pamiętam, chciałam być blisko. To wołanie we mnie. Wołanie o Boga.

Którejś niedzieli, nie wiem ile mogłam mieć wówczas lat, ale mniej niż trzynaście, poszłam do kościoła. Do kościoła chodziłam co tydzień na niedzielną mszę, w pewnych momentach mojego młodego życia nawet codziennie. Wszystko, co pamiętam z tamtych czasów to pragnienie, by Boga doświadczyć. By się objawiał w konkretnych sytuacjach, taki sam, jak w opowieściach z Pisma Świętego, które słyszałam już w dzieciństwie. "Przecież jesteś, wiem, że jesteś" - mówiłam Mu. Szukałam Go w regularności. W powtórzeniach. W rytuałach, które chciałam dokładnie znać. W symbolach. Potrzebowałam przeżyć każde ze świąt do cna. Te wszystkie objaśniał mi mój tata.

Z tamtej niedzieli nie pamiętam nic oprócz jednego wersetu. Nie wiem, kto go przeczytał, ani w jakim kontekście, ale wiem, co się stało, gdy go usłyszałam.

Moje serce zapłonęło. Zapłonęło do jedności, którą chciałam mieć z Jezusem. Zapłonęło do tej bliskości, o której marzyłam. Zapłonęło i takie zostało.

Potrzebowałam wyrazić w jakiś sposób ten moment. Zaznaczyć przeżycie serca w rzeczywistości oczu. Miałam wrażenie, że zniknie, gdy tego nie zrobię. Chciałam codziennie pamiętać. Wróciłam do domu, wzięłam mazak i napisałam na ścianie: "Z Chrystusem jestem ukrzyżowany; żyję więc już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus; a obecne życie moje w ciele jest życiem w wierze w Syna Bożego, który mnie umiłował i wydał samego siebie za mnie." (List do Galacjan 2:20). Wiem, że wtedy spotkaliśmy się tak, jak wcześniej chciałam.

Rosłam w szczęśliwej rodzinie. Mama, tata, dwóch starszych braci. Dużo miłości. Dobrze się uczyłam. Lubiałam pisać, liczyć i malować. Rodzice dawali mi na to wszystko przestrzeń i czas. Gdy miałam zadane wypracowanie, rzucałam wszystko i obmyślałam treść.

Pisałam na brudno. Zajmowało mi to długie godziny. Byłam wykończona i szczęśliwa. Zadania z matematyki rozwiązywałam dla relaksu i satysfakcji, jak krzyżówki. W malowaniu i innych zajęciach plastycznych odpoczywała głowa. Tak też opowiadałam sobie. Wszystko jest idealnie, myślałam. A jednak często znajdowałam w sobie smutek, którego nie umiałam wyjaśnić. Czuć, że jestem nieszczęśliwa. Pragnienie czegoś, czego nie mam, ale nie wiem, co to jest. Momentami nawet rozpacz. Że nie wystarcza mi do tego, kim chciałabym naprawdę być. Miałam wszystko, czego dziecku trzeba. A i tak czułam, że to nie wystarczy.

Dla siebie pisałam tylko nieszczęśliwie. Tylko w tych złych momentach miałam słowa, z których byłam zadowolona. Od czasu do czasu wyobrażałam sobie sprawy, które rozrywały mi serce. Wtedy opisywałam, co działo się we mnie. A to potęgowało moje odczucie niepasowania do życia.

Nie byłam szczupłą. I tą moją nieszczupłość nosiłam wówczas nie tylko na ciele, ale w swojej tożsamości. Zwykle nikt nie dawał mi odczuć tego jak wyglądałam. Ale pamiętam dwie sytuacje, które, co dziś rozumiem bardziej niż wtedy, na lata okłamały mnie w definiowaniu mojej wartości. Jeden chłopak powiedział przed całą klasą: a co ty możesz wiedzieć o miłości? (w kontekście damsko-męskiej i tego, że jestem brzydka i gruba). I inny, gdy mieliśmy dobierać się w pary do zabawy, że on nie będzie z taką grubą krową. A może to była świnia?

Gdy wieczorem oglądaliśmy film w dużym pokoju, bałam się iść ciemnym przedpokojem do toalety. Raz zostałam sama na noc w domu. Nie spałam nawet z zapalonym światłem, sparaliżowana strachem. Często, gdy zasypiałam, miałam wrażenie, że jakaś postać stoi nade mną i na mnie patrzy. Zdarzało się, że po jakimś czasie od zaśnięcia wyskakiwałam z łóżka z krzykiem, z wrażeniem, że wielki pająk oplótl mnie pajęczyną. Stał przy mojej

głowie i patrzył mi prosto w oczy, choć przecież były zamknięte. Wtedy budziłam się.

To o mnie w moich wczesnych nastoletnich latach. Gdy miałam ich trzynaście, do rodzinnego domu na weekend przyjechał mój starszy brat. I o kimś opowiedział.

Pamiętam to tak. Mój brat mówił wszystko, czego potrzebowałam wówczas usłyszeć. Każde słowo było jednocześnie odpowiedzią, która przynosiła ukojenie i przekonaniem o dobrej przyszłości. Rozmawialiśmy długo, ale ja pamiętam, że opowiedział mi o Jezusie, który może być przyjacielem. Z którym można rozmawiać. Który zawsze jest blisko i odpowiada. O Jezusie, z którym można na co dzień być. I o ludziach, których poznał, a którzy tak właśnie żyją. O kościele. Tamtego dnia uwierzyłam Jezusowi ze szczególną świadomością, co On zrobił dla mnie. Uwierzyłam, że Jego śmierć i zmartwychwstanie nie odnosi się tylko do zbawienia i życia z Nim zawsze, ale dopiero po śmierci. Uwierzyłam,

że On umarł i zmartwychwstał za naszą bliskość i relację już teraz. Powiedziałam, że jest moim Panem. Wiedziałam, że to jedyna odpowiedź na ten brak, zranienia i strachy, które już wtedy nosiłam w sobie.

I zapragnęłam. Tylko Jezusa.

Zaczęłam czytać Biblię, rozdział po rozdziale, konsekwentnie, choć niewiele z niej rozumiałam. Ale uparcie trzymałam się życia, którego doświadczyłam. Rozmawiałam z bratem przez telefon, zadawałam pytania. Słuchałam kaset magnetofonowych z nagraniami z niedzielnych nabożeństw z kościoła w Gdańsku (wówczas kościół “Bez ścian”, potem “Armia Dawida”). Najbardziej w tych nagraniach zachwycały mnie odgłosy dzieci w tle. Całe rodziny, które przychodziły do kościoła i dzieci, które mogły pozostać dziećmi nawet podczas kazania. Brat przywiózł mi również nagrane świadectwo człowieka, który uwikłany w okultyzm, został całkowicie uwolniony

przez Jezusa. To otworzyło mi oczy na obecność świata duchowego, który również namacalnie nas dotyczy.

Największa zmiana, która przysłała od razu, to odzyskanie w chwilę poczucie sensu. Pustka i beznadzieja, które codziennie nosiłam przy sobie, zniknęły. Nie dlatego, że zrobiłam nowy dobry plan na życie. Albo wzięłam kilka głębokich oddechów. Ja miałam trzynaście lat. I Jezus do mnie przyszedł, a ja Go przyjąłem. Ta pustka we mnie nie była o osiągnięciu jeszcze czegoś, czego nie znam. Ta pustka była miejscem dla Niego. Miejscem, które - gdy raz pełne - zmieniło to, jak się czułam, jak patrzyłam.

Przestałam pisać źle. I nie pisałam latami. Pamiętam - tu na chwilę wybiegnę w przyszłość - gdy siedziałam w wynajmowanym mieszkaniu w Gdańsku, już na studiach, i mówiłam Bogu, że nie umiem napisać nic dla Niego. Że wciąż najlepiej pisałoby mi się o bólu. A On mi pokazał, że jeszcze nie czas. Pisanie wciąż było zbyt ważne dla mnie. Wciąż było nie narzędziem do przynoszenia Bogu

chwały, ale źródłem samozadowolenia i satysfakcji. Przeszkodą byłam ja i moje samo-pragnienia. Dopiero kilka lat później powiedział: “pisz, żeby nikt nie miał wątpliwości, że wszystko w twoim życiu jest tylko dzięki mnie.”

Ciało mnie więcej nie zajmowało, ale wciąż żyłam w nawykach niepasowania. O tym wiem teraz, wówczas były mną i ich nie rozpoznawałam. Nie wyjdę na zewnątrz bez makijażu i bez umytej rano głowy. Nogi muszą być idealnie ogolone. Nie jem słodyczy w miejscach publicznych, bo pomyślą: taka gruba, a jeszcze je słodycze. (A w tamtym czasie już wcale gruba nie byłam.) Zakochana? Tylko w sekrecie. Bo czy ktoś mógłby mnie kochać? W różnym czasie, różnie. Uczyłam się siebie od nowa. To Boże Słowo pokazywało mi, kim jestem. Odślaniało dobre zamiary Boga wobec mnie. Bóg przekonywał mnie latami o mojej niezależności od słów drugiego człowieka. I zapraszał do zależności od Jego.

Dzisiaj nie pamiętam dokładnie, w którym momencie strach przed ciemnością zniknął. Kiedy odeszła postać znad mojego łóżka. Kiedy pająk nie oplatał mnie więcej pajęczyną. Kiedy stałam się zupełnie wolna od tamtego wpływu demonicznego. Wpływu, którego źródła do dziś nie znam. Pamiętam za to, jak któregoś wieczoru leżałam w łóżku, w ciemnym pokoju i nagle zdałam sobie sprawę, że już się nie boję. Że nie potrafię przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz zdarzyły mi się rzeczy, o których pisałam wyżej. To nigdy więcej nie wróciło. A przecież mój brat przyjechał na weekend do domu naszych rodziców dwadzieścia dwa lata temu.

Tak doświadczyłam Boga, którego pragnęłam. I tak zaczęłam żyć wysłuchaną modlitwą o bliskość.

Rozdział 2

Jest ponad nazwami

W pierwszej klasie liceum znałam już nieco Biblię, dlatego na katechezach lubiłam komentować wypowiedzi nauczyciela w oparciu o Słowo. Któregoś razu katecheta poprosił, żebym została w klasie po lekcji. Powiedział, że widzi we mnie pragnienie, żeby znać Boga. Zaskoczył mnie tym. Oczywiście, chciałam tylko Jezusa, ale nie spodziewałam się, że mój katecheta wprost o tym ze mną porozmawia. Katecheza to lekcja o religii rzymskokatolickiej, a nie o Bogu - tak ją do tej pory widziałam. Ten nauczyciel powiedział mi o Ruchu Odnowy w Duchu Świętym. I o rekolekcjach, które odbędą się w wakacje.

Wzięłam w nich udział, ponieważ to, co przeczytałam w internecie wydawało się być tym, o czym kilka lat wcześniej opowiedział mi mój brat. I było. Tam spotkałam ludzi, którzy znali Boga. Którzy spędzali z nim czas, bo jest przyjacielem. Którzy żyli z Nim codziennie, a nie przez czterdzieści pięć minut w niedzielę. Tam po raz pierwszy w swoim życiu publicznie powiedziałam, że

Jezus jest moim Panem¹. Również tam zostałam ochrzczona w Duchu Świętym² i kilka dni później, już w swoim pokoju w rodzinnym domu zaczęłam modlić się innymi językami.

¹ List do Rzymian 10:9-10,13: “Bo jeśli ustami wyznasz, że Panem jest Jezus, i uwierzysz w swym sercu, że Bóg wzbudził Go z martwych, będziesz zbawiony. Bo wiara płynąca z serca zapewnia sprawiedliwość, a jej wyznanie ustami zapewnia zbawienie. Dlatego zbawiony będzie każdy, kto wezwie imienia Pana.” Z łaski Bóg już umożliwił zbawienie dla każdego. Po stronie człowieka jest uwierzyć i przyjąć. Wówczas jest zbawiony.

² Ewangelia wg Łukasza 11:10,13: “Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje, a kto szuka, znajduje, a kto puka, temu otworzą. Skoro więc wy (...) umiecie dobre dary dawać swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec z nieba da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą.” Kochający Bóg Ojciec chce dać swoim dzieciom nadnaturalną moc potrzebną do życia nowym życiem. Żeby być ochrzczonym w Duchu Świętym wystarczy poprosić, uwierzyć i przyjąć. Wówczas człowiek jest wypełniony nadnaturalną Bożą mocą. Sylaby i pierwsze słowa w nieznanym języku napłyną z serca do ust. (1 list do Koryntian 14:14: “Jeśli bowiem modłę się obcym językiem, mój duch się modli, ale mój rozum nie odnosi korzyści.”) Wypowiadane na głos z wiarą, uwalniają Bożą moc i budują tego, który się modli. (1 list do Koryntian 14:4: “Kto mówi obcym językiem, buduje samego siebie, ale kto prorokuje, buduje kościół.”)

Po raz kolejny poczułam, że zaczęło się dla mnie nowe przestronne życie z Jezusem. Szybko jednak ścisnęło się we mnie, kiedy zaczęłam chodzić z chłopakiem, który Bogiem nie był zainteresowany. Dziś wiem dobrze, że na moją niewłaściwą decyzję złożyły się wszystkie zranienia z przeszłości oraz romantyzowanie relacji. Zachłysnęłam się czymś zainteresowaniem. I tak tkwiłam w nieszczęściu przez kolejne trzy lata. To nie były jednak lata bez Boga. Przychodziłam, trudniej mi jednak było Go znaleźć. Jakby za ścianą. Jakby daleko. Unikałam też innych chrześcijan, nosząc w sobie winę, że nie postępuję tak, jak powinnam. Wciąż pragnęłam żyć tylko dla Boga, ale niezdrowa relacja zatrzymywała mnie. Jednocześnie wносиła w moje życie kolejne zranienia.

To było na pierwszym roku studiów, w Gdańsku, gdy znalazłam siłę, by zakończyć tę znajomość. Mieszkałam wówczas z moim bratem, tym samym, który kilka lat wcześniej przyjechał do naszego rodzinnego domu.

Tamtego dnia opowiedziałam mu o ostatnich trzech latach zmagania. To przyniosło ulgę. I od razu rzuciłam się Jezusowi w ramiona.

Kościół, do którego chodził mój brat przyciągał mnie. Pamiętam, gdy poszłam tam po raz pierwszy, w odwiedzinie. Weszłam do domu, choć kościół mieścił się w starym magazynie przy dworcu kolejowym. Z ludźmi od razu stała się jakaś niewyjaśniona bliskość. Opowiadałam o swoim życiu osobom, o których wiedziałam jedynie z relacji mojego brata. Chciałam być częścią tego domu. A jednak nie umiałam zostać.

Wychowana w tradycji kościoła rzymskokatolickiego, nosiłam w sobie jego doktrynę. Głębiej niż myślałam. Co jakiś czas z tyłu głowy wracało pytanie: a co jeśli bycie w innym kościele to jednak grzech? Co jeśli naprawdę nie ma zbawienia poza kościołem rzymskokatolickim? Wówczas serce spotykało się z Bogiem i przychodziła

pewność, że On jest ponad nazwami. Że nie mogę zaprzeczyć spotkaniu z Nim.

Potrzebowałam, by ktoś stamtąd mnie wysłuchał. Ale gdzie znaleźć księdza? Jak się z nim umówić? Poszłam do spowiedzi. Nie tyle po to, by się wyspowiadać, ale by podzielić się swoim dylematem. A ksiądz powiedział, że nie wyobraża sobie życia poza kościołem rzymskokatolickim. Ale jeśli mnie Bóg ciągnie do innego kościoła, jeśli tam widzę moje życie, to tam powinnam iść. Nie mogę zostać.

Wyszłam stamtąd i już nigdy nie wróciłam. Potrzebowałam, by ktoś wypuścił mnie z dobrymi słowami, z błogosławieństwem. Dowiedziałam się o tej potrzebie dopiero, gdy tak się stało. Przyszła wolność. W najbliższą niedzielę po rozmowie z księdzem poszłam na pierwsze nabożeństwo do miejsca, które później latami nazywałam swoim domem.

Tamtej niedzieli po raz pierwszy usłyszałam Boga, który mówił do mnie zdaniami, a nie jak wcześniej, odczuciami czy przekonaniem. Wówczas nie byłam pewna, czy to On rzeczywiście. Słowa te były dla mnie niemożliwe, ale je zapamiętałam: “Będziesz głosiła ewangelię narodom.”

To był rok 2006. Latem przyjąłm chrzest w wodzie.³

³ Ewangelia wg Marka 16:16: “Kto uwierzy i ochrzczi się, będzie zbawiony, ale kto nie uwierzy, będzie potępiony.” Chrzest wodny jest widocznym znakiem decyzji, która została podjęta przez wiarę. Decyzji o uwierzeniu Bogu i przyjęciu zbawienia.

Rozdział 3

On leczy do końca

Któregoś dnia wracałam z zajęć do domu. To były czasy, kiedy studiowałam w Gdańsku. Wyczuwałam w sobie pewne napięcie, wyczekiwanie, próbowałam je nazwać. Wtedy odkryłam to po raz pierwszy. Szukałam pewnego samochodu zaparkowanego na ulicy, gdzie mieszkaliśmy z moim bratem. Kogoś wyczekiwałam.

Tomek był dobrym kolegą mojego brata. Był również liderem grupy ewangelizacyjnej w kościele, do której należałam. Często nas odwiedzał. Pamiętam jak wpadał wieczorami po dyżurze, tylko na chwilę, jak mawiał, i pił godzinami herbatę z kubka, który miał ponad pół litra pojemności. Lubiłam jego bliskość z Jezusem, pewną wiarę, sięganie po niemożliwe, uważność na człowieka, rozrzutne dawanie czasu, zabawne opowieści ze szpitala. Aż tamtego dnia odkryłam, że lubię jego.

W dniu swoich trzydziestych urodzin Tomek zapytał, czy zostanę jego żoną. Zapytał podczas swojego urodzinowego spotkania, w obecności osób ważnych w

jego życiu. A ja bardzo chciałam. Tego wieczora pojechaliśmy z przyjaciółmi nad morze. Było już ciemno. Pamiętam to jak sen. Chciało mi się spać. Z długiego czasu, dużej liczby ludzi i późnej pory. I pamiętam Tomka, który z rozłożonymi szeroko ramionami kręcił się na wietrze. Ale ja wiem, że spotykał się wtedy z Bogiem. Ja też. Byłam tylko wdzięczna.

Moje życie w tamtym czasie zdawało mi się chrześcijańską bajką. Niepozobawioną rys, ale przynoszącą spełnienie. Miałam tę bliskość z Bogiem, której pragnęłam. Rosłam w kościele, który był moim domem. Wierzyłam Bogu, że z Nim możliwe jest wszystko. Działałam dużo, jak zawsze chciałam. Wróciłam do pisania, pomалу odkrywając, jak to robić dla Królestwa. No i byłam narzeczoną człowieka, który kochał Boga. I wszystko, co nasze, razem, miało się dopiero zdarzyć.

Pamiętam to tak. To był rutynowy zabieg, dzień czy dwa w szpitalu i do domu. Na pytanie jak się ma, Tomek

przesyłał mi mmsy ze spuchniętym i zabandażowanym nosem. Jako żart, że świetnie. Szybko trafił znów do szpitala. Leczyli, szukali, inaczej leczyli, szukali, znaleźli. Tomek poprosił, żebym przysła. Powiedział, że jeśli przeżyje następne trzy dni, to już będzie dobrze. Tego dnia przewieźli go do innego szpitala. Następnego dnia rano na intensywną terapię. Spędził tam dwadzieścia pięć dni, utrzymywany w stanie śpiączki.

Nie mogę sobie przypomnieć w jaki sposób wierzyłam w tamtym czasie. Nie pamiętam swoich modlitw. Wiem tylko, że były. Pamiętam za to dobrze, że byłam sparaliżowana tym, co się działo. Wszystko było tak nierealne. Patrzyłam na siebie częściej jakby z zewnątrz niż byłam obecna tu i teraz. Wytracona z niedoskonałej, ale jednak równowagi, w której żyłam.

Tak to pamiętam. O śmierci Tomka powiedział mi jego brat. Przyjechał po mnie i modliliśmy się razem nad ciałem w szpitalu. Żeby wstał. Potem jego brat zabrał

mnie do domu, po drodze kupił kwiaty i herbatę. Piliśmy ją razem z nim i z jego żoną przy stole. Walczyć przestałam kilka dni później, gdy usłyszałam garść ziemi uderzającej o wieko trumny. Z pogrzebu pamiętam tylko bardzo dużo ludzi. Żadnych twarzy.

Zaczęły się ciemne dni. Było tylko to, co trzeba teraz. Iść do toalety. Zjeść. Zrobić przelew. Iść do pracy. Zrobić zakupy. Iść do kościoła. Spotkać się z kimś. Odwiedzić rodziców. Ale nie było dla mnie w tamtym czasie żadnego jutra. Czułam jakby wszystko wokół było czarne. Na nic nie czekałam. Wracały do mnie momenty z niedalekiej przeszłości i rozrywały mi serce. Oglądałam filmy, tylko takie, w których ktoś umierał. Były mi jak przyjaciele, którzy wiedzą jak to jest. Później nieświadomie ratowałam się żartem i sarkazmem. Dużo czasu spędzałam wówczas z moim bratem, który po prostu był i słuchał.

Do Boga przychodziłam i milczałam. Nie wiedziałam, co miałabym mu powiedzieć. W dniu, kiedy Tomek umarł

zdarzyły się dwie tragedie. Runęło moje życie i runął mój chrześcijański światopogląd. Okazało się, że miejsce, w którym się znalazłam w niezauważalnym dla mnie momencie z relacji z Bogiem stało się wiedzą o Nim. Próbowałam czytać Biblię, ale nic nie rozumiałam. Nie słyszałam Boga. Jednak nie potrafiłam obwiniać Go o to, co się stało. Wiedziałam, że On jest Świętym Bogiem. Nawet, jeśli nie rozumiem. Dopiero później zrozumiałam, że jest też Dobrym Bogiem.

Ten stan milczenia czy zdawkowych moich monologów trwał dwa lata. Nie odeszłam od Niego, ani z kościoła. Nie zaprzeczyłam wszystkiemu. Ale trwałam w pewnym zawieszaniu. Odkładałam uporanie się z naszą relacją na bliżej, czy raczej dalej, nieokreślone potem. Aż w końcu przyszedł do mnie z przekonaniem. Wiedziałam, że muszę podjąć decyzję. Czy uznam, że Bóg jest winny śmierci mojego narzeczonego i będę żyć sama, czy jeszcze raz uwierzę Jemu. Byłam zła, że muszę decydować. Wcale nie było to łatwe, chodziłam z tym pytaniem jakiś czas.

Wiedziałam też, że to tylko decyzja, po niej będzie długi proces radzenia sobie z tym, co się stało. Mogłam to zrobić po mojemu albo tak, jak chciał Bóg. Powiedziałam Mu, że chcę jeszcze raz spróbować iść za Nim. Ale tym razem chcę, żeby On sam wyjaśniał mi kim Jest. Nie ludzie, nie zwyczaje, nie nauczania. Ale On sam. Podjęłam decyzję. I nic się nie stało.

Pół roku później siedziałam w swoim nowym mieszkaniu, do którego wprowadziłam się miesiąc wcześniej. Było tam tak ładnie. Pamiętam tylko jedną myśl. Czy spędzę tu już resztę mojego życia? Czy już zawsze będzie tak samo, bez nadziei, bez przyszłości? Chwilę później poczułam jak z mojego wnętrza wypływają słowa modlitwy innymi językami. Zaczęłam się modlić. Pozwoliłam im płynąć. Wiedziałam, że nie muszę, że mogę zatrzymać je, kiedy zechcę. Ale nie chciałam. Przez poprzednie dwa lata próbowałam się zdyscyplinować. Choć pięć minut modlitwy, choć pięć minut czytania Biblii, choć pięć minut modlitwy innymi językami. Mogłam to wszystko

zrobić, ale nie było w tym życia. Więc teraz, gdy nagle przysła lekkość, pozwoliłam słowom płynąć. Najpierw pięć minut, potem dziesięć. Nie pamiętam jak długo, ale po krótkim czasie poczułam jak pojawia się nadzieja w moim sercu, jak wraca do mnie życie. I pierwszy raz po dwóch i pół roku usłyszałam Boga, który mówił mi o mojej przyszłości. O tym, że ona jest. O tym, że On ją dla mnie ma. Nagle ciemność wokół mnie zniknęła, a pojawiła się rozległa przestrzeń bez granic. Wiedziałam, że decyzja, którą podjęłam pół roku wcześniej umożliwiła to. Wiedziałam, że Bóg sam po mnie przyszedł.

I tak zostało. Ta lekkość w przychodzeniu do Niego. Modliłam się prawie ciągle. Otwierałam usta i mówiłam. Bez żadnych postanowień, wydzielania czasu na nasze spotkania. Mieszkałam wówczas sama, więc non stop na głos rozmawiałam z Bogiem. W miejscach publicznych rozmawialiśmy w myślach. Czytałam Biblię, a z każdego niemal wersetu przychodziło do mnie objawienie. Byłam zakochana. Pamiętam, jak co jakiś czas osoby, które mnie

znały, pytały delikatnie (ze względu na moje doświadczenie), czy poznałam kogoś. A ja odpowiadałam, że Jezus mi wystarczy i że to w Nim jestem zakochana. Byłam znowu szczęśliwa. Znowu miałam przed sobą przyszłość. Ale teraz wystarczył mi On sam.

Co jakiś czas tylko pojawiała się myśl o Tomku. Za myślą ścisk w sercu i dużo łez. A potem znów tylko bliskość i radość z Jezusem. Któregoś razu, gdy płakałam, poprosiłam Boga, żeby coś z tym zrobił. Do tej pory żyłam w przekonaniu, że zawsze będę tą, której umarł narzeczony. Że to część mojej tożsamości. Widziałam ludzi, którzy żyli w żałobie po kimś bliskim nawet latami po jego śmierci. Coś we mnie nie zgadzało się z tym. To doświadczenie Jezusa, które miałam i ten ból, który wracał od czasu do czasu nie pasowały do siebie. Zaczęłam rozmawiać o tym z Bogiem.

“Gdy ja uzdrawiam, to uzdrawiam do końca. To znaczy, że już nigdy może nie boleć. Uwierzysz mi?” - tak powiedział.

Zaczęłam płakać i mówić Mu, że tego chcę. Że chcę być uzdrowiona do końca i wierzę, że to możliwe. Od tamtej pory, a był to rok 2014, wspomnienie o Tomku nie zabolalo ani razu. Ani razu nie popłynęły łzy, które temu bólowi towarzyszyły. Czasem to było krępujące, gdy z przyjaciółmi wspominaliśmy Tomka, a oni zaczynali płakać. Ja nie miałam bólu ani łez, tylko dobre i złe wspomnienia. Bóg mnie uzdrowił. Tak, jak powiedział, do końca.

Rozdział 4

Moc krzyża i kochanie

Zdrowa i cała po śmierci mojego narzeczonego nie chciałam nic oprócz Boga samego. Miałam poczucie, że spłonęło we mnie całe życie, które należało do mnie. Które snułam i budowałam na chrześcijańskiej kanwie. I że teraz On sam wyrósł we mnie. Już bez żadnych innych pragnień. Tak jak chciałam - On objawiał mi siebie i uczył o sobie.

W tamtym czasie poznałam Daniełę, dziewczynę, do której prowadziły mnie wszystkie drogi. Kogo bym nie zapytała, wskazywał na nią. Kilka lat wcześniej byłam na konferencji dla kobiet, gdzie poruszany był problem współczesnego niewolnictwa i handlu ludźmi. Wówczas usłyszałam o tym po raz pierwszy. To, że ktoś nie może zdecydować o sobie, podczas gdy Bóg pozwala nam decydować o życiu z Nim lub bez Niego, krzyczało we mnie z niezgody. Gdy już byłam silna po swojej stracie, szukałam sposobów, jak mogłabym i ja pomóc. Tak trafiłam na Daniełę. I ponieważ jeden e-mail, który jej wówczas wysłałam rozpoczął całą historię, opowiem o

niej w następnej części świadectwa. Ale to Daniela powiedziała mi o szkole biblijnej w Łodzi, kiedy podekscytowana dzieliłam się z nią objawieniami, które daje mi Bóg. Tak usłyszałam o Charis Bible College Polska.

Byłam ostrożna, komu pozwalałam mówić mi o Bogu. Nie chciałam nauczyć się o Nim czegoś, co będzie tylko wiedzą, bez Jego prawdy i mocy. Dlatego, gdy Daniela powiedziała mi o szkole, podeszłam do tego z rezerwą. Ale zdecydowałam, że wysłucham nauczania Andrew Wommacka (założyciel szkoły), ponieważ to, o czym mówiła Daniela, rezonowało z tym, co Bóg mówił do mnie. To było nauczanie o równowadze między łaską a wiarą. Po czterdziestu minutach wiedziałam, że chcę iść do tej szkoły. Bez względu na koszt z czasu i pieniędzy. Kilka dni później wysłałam zgłoszenie. Kilka tygodni później zaczęłam pierwszy rok korespondencyjnie.

To w tamtym czasie Bóg dał mi objawienie Jego sprawiedliwości. Do tej pory pamiętam, jak podchodziłam do ekspresu, by zrobić kawę i jak rozmawiałam z Nim o wersecie z 2 listu do Koryntian 5:21: “On Tego, który nie poznał grzechu, za nas uczynił grzechem, abyśmy my w Nim stali się sprawiedliwością Boga.” Przez pierwsze lata życia z Bogiem wracała do mnie wątpliwość, czy na pewno jestem zbawiona. Choć wiedziałam już wtedy, że moje zbawienie nie zależy od tego, co robię, ale od tego, czy oddałam Jezusowi swoje życie, to jednak lata spędzone w narracji uczynkowości trzymały mnie wciąż w niepewności i niewoli. Tamtego dnia jednak, nad ekspresem do kawy, Bóg dał mi objawienie, że jestem sprawiedliwa. Że jestem sprawiedliwością Boga w Chrystusie. Że nie ma już żadnej przeszkody między nami. A Bóg patrzy na mnie przez Jezusa i jak Jezus jestem dla Niego doskonała i bez winy. Nawet, jeśli wciąż zdarzy mi się grzech, mogę go zostawić i znów przyjść do Boga. Z tym przysłała oczywista pewność zbawienia.

Objawienie jest wtedy, gdy prawda, którą słyszysz, staje się częścią ciebie. Nie przychodzi już z zewnątrz, ale wypływa z twojego serca. Nie powtarzasz jej po kimś. Nie jest wiedzą. Jest Twoim osobistym doświadczeniem. Przekonaniem. Jest Tobą.

W tamtym czasie uwierzyłam również Bogu, że razem ze zbawieniem zapewnił nam uzdrowienie. W Księdze Izajasza 53:4-5 czytamy o Jezusie: “Tymczasem On wziął na siebie nasze choroby, dźwigał nasze cierpienia. A my myśleliśmy, że [słusznie] jest zraniony, uderzony przez Boga i umęczony. Lecz On został przebity za nasze przestępstwa, zgnieciony za nasze winy, spadła na Niego kara w imię naszego pokoju, a Jego ranami zostaliśmy uleczeni.” Dłuższy czas po śmierci mojego narzeczonego moje ciało zaczęło odchorowywać długotrwały stres. Bardzo silne bóle głowy bez żadnego medycznego wyjaśnienia, wysoki cholesterol z podejrzeniem wrodzonej cholesterolemii, później wykluczonej, nierówne bicie serca i żadnych zmian wykazanych w

badaniach, nadciśnienie. Lekarze powiedzieli - na ból głowy tabletki, gdy boli, na cholesterol dieta i tabletki, jeśli dieta nie pomoże. Na serce też tabletki, na wyrównanie rytmu. Nadciśnienie - będzie tylko większe z wiekiem - tabletki do końca życia. Nie miałam wtedy trzydziestu lat.

To poprzez jedno z nauczania ze szkoły biblijnej Charis zrozumiałam, że wcale nie muszę chorować. Że uzdrowienie jest wolą Boga dla nas. Tak samo jak Jezus zapewnił nam na krzyżu zbawienie, tak samo i uzdrowienie. Ta prawda urosła we mnie do objawienia na tyle, że nie chciałam już więcej brać tabletek na nadciśnienie. Nie dlatego, że musiałam coś szalonego zrobić, by przekonać Boga do cudu. Ale dlatego, że wiedziałam, że On już wziął tę chorobę na siebie i ja mogę być od niej wolna, jeśli uwierzę Słowu, które mówi, że jestem zdrowa.

Tamtego dnia, gdy przyszedł czas na kolejną tabletkę od nadciśnienia, kazałam nadciśnieniu odejść, a ciału podporządkować się Bożemu Słowu i przywrócić prawidłowe ciśnienie krwi. Podziękowałam Bogu za uzdrowienie. Zmierzyłam ciśnienie. Za wysokie. Pomodliłam się w ten sam sposób jeszcze raz, już zestresowana. Zmierzyłam ciśnienie. Jeszcze wyższe. I wtedy się wściekłam. Wściekłam się, że choroba nie podporządkowuje się Jezusowi. Jeszcze raz wykrzyczałam podobną modlitwę, biegając po mieszkaniu z niezgody, która urosła we mnie. Można sobie wyobrazić, jak zmienia się ciśnienie krwi po takich emocjach i ruchu. Zmierzyłam jeszcze raz. Było idealne. Tym razem biegałam po mieszkaniu i dziękowałam Bogu za Jego uzdrowienie. Po godzinie sprawdziłam znowu. Idealne. Następnego dnia - idealne. Kilka dni później - tak samo. Od tamtej pory nie biorę tabletek na nadciśnienie. Choroba próbowała wrócić raz, podczas mojego pierwszego roku w Mozambiku, ale po modlitwie odeszła.

Każda z tamtych chorób miała swoją własną historię, o czym nie będę tutaj opowiadać. Ale każda z tych historii skończyła się tak samo. Nie mam silnych bólów głowy. Nie mam podwyższonego cholesterolu. (Dopiero ostatnio pojawiły się wahania przy złej diecie w Mozambiku.) Nie mam nierównego bicia serca. Tak samo jak nie mam nadciśnienia. I na żadną z tych dolegliwości nie biorę tabletek już od lat.

Tamtą książkę o misjach przeczytałam w jedno popołudnie, może w dwa. Misje nigdy mnie nie interesowały. Ale były ciekawą opowieścią o rzeczach niemożliwych z Bogiem. W książce najbardziej poruszyła mnie prosta miłość. Ta, która jest zauważeniem, obecnością, nakarmieniem. Nic skomplikowanego. Ale kosztuje całe twoje życie. To była książka “Zawsze pod dostatkiem” Heidi Baker. Ciekawa, jak dziś wygląda ta służba, weszłam na stronę internetową. Kliknęłam w zakładkę, która mówiła w jaki sposób można włączyć się w ich działania. Misje krótkoterminowe - maksymalnie

trzy tygodnie. Szkoła misyjna Harvest School of Missions - trzy miesiące. Misje długoterminowe - zobowiązanie na co najmniej dwa lata. Na końcu dopisek: "Ponieważ służymy w słabo rozwiniętych krajach o nieprzewidywalnych warunkach, Iris Global nie może i nie gwarantuje twojego bezpieczeństwa, zdrowia ani komfortu. Będziesz służył, ufając, że Bóg cię zaopatrzy i ochroni." To, co dla nich pewnie było prawnym zabezpieczeniem, we mnie rozpałiło pragnienie. Do życia w całości opartego na zaufaniu Bogu. Pamiętam jeszcze jedną myśl: "Kto decyduje się na którąkolwiek z tych opcji? Skąd wziąć na to czas i pieniądze?" I odłożyłam książkę.

Do Mozambiku pierwszy raz pojechałam na misje krótkoterminowe w 2016 roku. Rok później ukończyłam tam szkołę misyjną. W styczniu 2018 rozpoczęłam moje dwuletnie misje długoterminowe. Kto decyduje się na którąkolwiek z tych opcji? Ten, który pójdzie za Jezusem,

drogą, którą On wcześniej już szedł. Tak dziś myślę. Ale o tym opowiem później.

W tamtym czasie zaczęło mi się robić niewygodnie. Uleczona ze zranień, zakochana w Jezusie, rosłam w przyjaźni z Bogiem i uczyłam się Jego i Jego Słowa. Ale moje serce zaczęło za czymś tęsknić. Za zmianą. Byłam w miejscu, do którego nie należałam. Nie chciałam spędzać ośmiu godzin w pracy przed komputerem. Chciałam kochać na pełen etat.

Tamtego lata 2015 roku miałam jechać na wakacje z dwoma zaprzyjaźnionymi rodzinami z kościoła. Cieszyłam się bardzo na samochodową wyprawę po wschodniej Europie. Szybko jednak zaczęłam przeczuwać, że Bóg ma dla mnie inny plan. Po krótkim czasie powiedziałam, że nie mogę jechać. Bóg zabierał mnie na wakacje. Powiedział, że będzie uczył mnie o kochaniu. Wynajęłam pokój w górskim miasteczku na tydzień. Spakowałam wszystkie notatki ze szkoły biblijnej. Pilnie

przygotowałam się do nauki. Ale nie przeczytałam nic z tego, co ze sobą wzięłam - taki plan na naukę miał Bóg.

Podczas tego wyjazdu chodziłam po górach, polach i piaskowych drogach z Bogiem. Rozmawialiśmy sobie przez wszystkie godziny, w których nie spałam. On nie robił nic innego, jak tylko mnie kochał. Ja nie robiłam nic innego, jak tylko tę miłość przyjmowałam. Bywało, że chciałam sięgnąć po notatki, książki. Usystematyzować miłość. Zrobić coś pożytecznego, jak myślałam. Ale On mnie od tego odwoził za każdym razem. Czytałam tylko któreś z codziennych rozważań Heidi Baker, jeśli można to nazwać czytaniem, bo co zdanie Bóg wylewał się na mnie z objawieniem swojej miłości. I musiałam przerywać.

Po kilku dniach zaczynałam pomału rozumieć nasz tydzień razem w górach. Obserwowałam, jak Bóg robi we mnie przestrzeń na nowe, które jest przede mną, ale o którym jeszcze nic mi nie powiedział. Już wiedziałam, że

jedyna lekcja z kochania, jaką mi daje, to Jego miłość do mnie. Jedyna i wystarczająca. Bo tylko ukochana, mogłam kochać innych. Jego miłością. Tam, w górach, rozpoczęło się moje kochanie. Byłam gotowa, żeby ruszyć w drogę.

Rozdział 5

Przeciwko handlowi ludźmi

To, że potrzebuję być blisko człowieka, któremu pomagam, pierwszy nazwał Andrzej. Zadzwoiłam do niego i długo opowiadałam o moich dotychczasowych wybojach w życiu i pracy zawodowej. I o niewygodzie. I o niepasowaniu. On nie mówił długo. Tylko tyle, że dopóki nie będę bezpośrednio pomagać innym ludziom, będę miała ten wewnętrzny konflikt. To było odkrycie o tym, jak zaplanował mnie Bóg.

W tamtym czasie poznałam Daniełę, dziewczynę, do której prowadziły mnie wszystkie drogi. Kogo bym nie zapytała, wskazywał na nią. Kilka lat wcześniej byłam na konferencji dla kobiet, gdzie poruszany był problem współczesnego niewolnictwa i handlu ludźmi. Wówczas usłyszałam o tym po raz pierwszy. To, że ktoś nie może zdecydować o sobie, podczas gdy Bóg pozwala nam decydować o życiu z Nim lub bez Niego, krzyczało we mnie z niezgody.

Danieli wysłałam jeden e-mail, na który odpowiedziała. Później zaprosiłam ją, aby mówiła na konferencji dla studentów o pracy przymusowej i współczesnym niewolnictwie. Wówczas spotkałyśmy się po raz pierwszy. Po jakimś czasie to ona zaprosiła mnie na szkolenie związane z problemem handlu ludźmi. To wtedy, na tyłach miejskiego autobusu w Warszawie, przeczuwałyśmy, że Bóg ma na myśli większy plan - dla nas obu. Daniela zaprosiła mnie do współtworzenia fundacji.

Kilka miesięcy później pakowałam wszystkie swoje rzeczy. Jedną walizkę do Indii. Jeden plecak w góry. Dużo kartonów do Łodzi. Ja, dziewczyna, która całe życie chciała mieć jedną pracę, jeden dom i jedno swoje miejsce. Która tak rozumiała stabilność. To była moja droga na najbliższy czas. Czy wówczas przypuszczałam, że jeszcze w tym samym roku polecę do Mozambiku? Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ale Bogu już tak. W dotychczasowej pracy złożyłam wypowiedzenie.

Niepasowanie zniknęło. Bóg przesuwał mnie z miejsca, do którego nie należałam do miejsca, które dla mnie przygotował.

Indie to była moja pierwsza podróż misyjna, w ramach szkoły biblijnej Charis. O mojej najważniejszej lekcji stamtąd piszę tu: [Niewidzialni](#). Ale z tej podróży pamiętam również ciągle zmęczenie. Upał. Problemy żołądkowe. I dochodzenie do swoich możliwości raz po raz. Pamiętam jak któregoś wieczoru stałam pod prysznicem, wykończona, ze zbiorem wątpliwości i pytań w sercu, już zestresowana kolejnym dniem. I jak przyszła ulga z Jego słów, że to nie moje możliwości, ale Jego⁴. Że to nie ja, ale On tego dokona⁵. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że w najbliższych latach będę musiała

⁴ 2 List do Koryntian 12:9: “(...) Wystarczy ci moja łaska, w słabości doskonali się moc. (...)”

⁵ 1 List do Tesaloniczan 5:24: “Ten, który was powołuje, jest wierny, On też tego dokona.”

Zachariasza 4:6: “(...) Nie dzięki mocy, ani dzięki sile, stanie się to dzięki mojemu Duchowi - mówi Pan Zastępów.”

codziennie korzystać z tych Słów. Nimi żyć. Niemniej, w tamtym czasie, wciąż misje nie były moim pragnieniem ani planem.

Po powrocie z Indii i po kilku dniach spędzonych w górach, wróciłam do Łodzi. Dziwne to było uczucie. Wyjeżdżałam z Gdańska, wracałam do Łodzi. W międzyczasie mój brat i kolega przeprowadzili mnie w nowe miejsce. Dziwne i ekscytujące. Boże przesunięcie.

Następne miesiące były jednymi z najtrudniejszych i najlepszych w moim życiu. Byłam tyle, ile było potrzebne. Choć miałyśmy ustalony rytm pracy, sytuacja stała się bardzo dynamiczna, kiedy do domu, który fundacja założyła, zaczęły przychodzić pierwsze osoby. Kiedy policja zaczęła dzwonić do Danieli i mówić: “Mamy kobietę. Przyjedziecie?” Pamiętam, jak któregoś wieczoru wyszłam rano do pracy z myślą, co będę robić po południu. Wróciłam następnego dnia późną nocą. W międzyczasie spałam kilka godzin w ubraniu na kanapie w

domu fundacji, żeby rano znów ruszyć w drogę. Ale nie to było najtrudniejsze. Najtrudniejsze było być z kobietami i wszystkimi ich opowieściami. I widzieć, co zrobił im drugi człowiek. Najtrudniejsze było zostawać w domu na noc z osobami, co do których trzeba było mieć ograniczone zaufanie, a jednocześnie je kochać. Najtrudniejsze było, kiedy dotykała nas cała rzeczywistość duchowa, którą te kobiety wносиły do domu fundacji. Najtrudniejsze było chcieć pomóc, widzieć doraźne uśmiechy, ale nie widzieć trwałych zmian w życiu. I wciąż wierzyć, że to, co robimy, ma znaczenie.

Wracając do swojego mieszkania, oglądałam się przez ramię wiele razy. Gorące długie kąpiele po powrocie do domu brałam prawie codziennie. Tak schodziło napięcie. W soboty, jeśli mogłam spałam tak długo, ile potrzebowało moje ciało, a potem budziłam się, jadłam i znów drzemałam.

Nie mogę i nie chcę przytaczać tu całego zła, które oglądałam w tamtym czasie. Dlatego napiszę, co lubiłam najbardziej. Najbardziej lubiłam spędzać czas z dziewczynami na codziennych zwykłościach. Iść razem do parku na spacer. Na gofry. Iść na zakupy. Świątować pierwsze urodziny małego chłopca. Gadać o babskich drobnostkach. To w tamtym czasie obejrzałam chyba wszystkie filmy muzyczne dla nastolatek. I uczyłam się, że kochanie wystarczy właśnie takie - w pozornie nieznaczącej obecności.

I ludzie, których spotkałam po drodze. Bóg utkał przeróżne relacje, które nosiły mnie w tamtym sezonie, ale również, co rozumiałam dopiero później, umożliwiły pójście dalej za Jezusem. W moje niemożliwe, a Jego możliwe. Bo kiedy głośniejszy krzyczy do nas to, co widzimy, a mamy podejmować decyzje i żyć w oparciu o to, co niewidoczne⁶, potrzeba czasem ludzi, którzy w chwilach naszego zwątpienia postawią nas do pionu. I tak, gdy ja

⁶ List do Hebrajczyków 10:38: “A mój sprawiedliwy z wiary żyć będzie (...)”

nie widziałam, zawsze obok był ktoś, kto mówił, że to jest, choć nie do zobaczenia. Bo Kościół Jezusa Chrystusa jest też po to, aby wierzyć z nami w nasze niemożliwe.

Byłam na swoim miejscu. Kochanie stało się moją pracą. Robiłam to niedoskonale, ale zawsze patrząc na Niego. Szybko jednak zauważyłam w sercu pragnienie czegoś więcej. Trudno o tym opowiedzieć. Dopiero co przyjechałam do Łodzi, wywracając moje życie do góry nogami. Tylko dla Niego. Ale to, co płonęło w środku, było o kochaniu. O czymś jeszcze nowym dla mnie. W tamtym czasie coraz częściej wracały do mnie myśli o książce o misjach, którą czytałam rok wcześniej. Myśli o Mozambiku. Kraju, o którym nic nie wiedziałam.

Rozdział 6

Droga do Mozambiku

Kochałam na pełen etat - tak, jak chciałam. Niedoskonale, ale zawsze patrząc na Jezusa. Szybko jednak odkryłam w sercu pragnienie czegoś więcej. Co prawda dopiero przyjechałam do Łodzi, wywracając swoje życie do góry nogami - tylko dla Niego. Ale w środku płonęło coś jeszcze o kochaniu. Coś nowego dla mnie. W tamtym czasie coraz częściej wracały myśli o misjach.

I pośrodku tego nowa. Pierwszy raz zapisałam ją w kalendarzu 14 lutego 2016. "Jeszcze w tym roku pojedę na misję do Mozambiku. Co to?"

Nie chciałam tam lecieć. Kiedy myślałam o samotnej podróży do Afryki, pojawiała się obezwładniająca uczucie stresu zlokalizowane w brzuchu. Powtarzałam sobie, że przecież nic nie muszę. Że jeśli źle mi z tą myślą, mogę ją zostawić. Ale nie tak umówiłam się na życie z Bogiem. Chciałam być cała Jego bez względu na koszt. Podejmowałam więc tę myśl od czasu do czasu, ale za każdym razem odkrywałam to samo - Bóg mnie tam

woła, a ja się boję. Pamiętam dobrze ciemność mojego mieszkania i szeroko otwarte oczy. Noce, w środku których budziłam się nagle z poczuciem, że spadam. Bez gruntu pod stopami i z pytaniem: czy już jestem w Mozambiku i czy to na zawsze? Pamiętam dobrze, że ogarniało mnie wtedy przerażenie. Poczucie, że nie kontroluję swojego życia.

Jednej z takich nocy przysnił mi się sen. We śnie była noc. Spałam w pokoju, gdzieś w Mozambiku. Nagle wbiegło tam kilkoro dzieci, które zaczęły ściągać mnie z łóżka i mówić, bym poszła z nimi modlić się o kogoś. Nie udało im się mnie przekonać, więc wybiegły z pokoju, a ja zostałam z myślą, że jestem bardzo zmęczona i że nie dam rady wstać. I wtedy usłyszałam głos Boga: “Masz prawo odpoczywać, spać w nocy. Przecież noc jest od spania, a ty jesteś zmęczona. Możesz z nimi nie iść, ale wówczas nie zobaczysz, jak Ja działałam.”

Gdy rano się obudziłam, było dla mnie jasne, że lecę. Nie dlatego, że muszę. Dlatego, że chcę oglądać Jego działanie. Z tą decyzją przyszła też odwaga – zupełnie z łaski, od Niego. Jednej nocy nie zmieniły się okoliczności. Nie nabrałam wprawy w dalekich samotnych podróżach na inny kontynent, nie wpłynęło na moje konto kilka tysięcy złotych, których potrzebowałam na wyjazd. A jednak niespokojne noce się skończyły. Tamta myśl zapisana w kalendarzu stała się moim przekonaniem.

Zawsze zadziwiają mnie Boże sposoby działania. W tamtym momencie już wiedziałam, że lecę. Nie myślałam o tym, że jeszcze nie wysłałam zgłoszenia do bazy w Pembie, gdzie Bóg mnie wołał. I że jeszcze nikt nie wyraził zgody, żebym tam była. Nie myślałam o wizie, ani o pieniądzach, których nie miałam. Nie myślałam o tym, czy dostanę wolne trzy tygodnie w fundacji, w której pracowałam. W moim sercu wiedziałam – lecę. I nadal się bałam. Ale mając pewność, że to Bóg mnie tam zabiera,

mogłam podejmować kolejne kroki, wierząc, że On sam tego dokona. Pomimo moich trudnych emocji.

I w tym miejscu mojej bezradności Bóg uczył mnie jednego. Kiedy otrzymujemy obietnicę, ciągle musimy mieć oczy wpatrzone w Jezusa. Nie trzymajmy się jej bardziej niż Jego. Bo przewrotnie, w tym oczekiwaniu na jej spełnienie, nie ona powinna być naszym punktem skupienia, ale On. To w naszej drodze do Niego spełnia się każda.

Bóg dobrze się zajął moimi potrzebami. O tym, jak zapłacił za tę podróż piszę tu: [Bóg finansuje swoje plany](#). A więcej o przygotowaniach do tej podróży tu: [Starczy ci odwagi i ludzi](#).

Kilka miesięcy później wylądowałam w Mozambiku. To były prawie trzy tygodnie kochania i przekraczania siebie. Znów, tak jak i w Indiach, gdy już nie starczało moich sił i

możliwości, przychodziłam do Niego pewna, że Jego sił i możliwości wystarczy. Że łaski wystarczy.

Kilka dni przed powrotem do Polski Bóg powiedział, żebym przestała robić rzeczy, a zaczęła tylko z Nim być. Czułam się niekomfortowo, ponieważ w moim przekonaniu przyjechałam działać. Jakbym musiała zapłacić swoimi rękoma za miejsce, które zostało mi dane w bazie misyjnej. Jakbym musiała wykonać mierzalne zadania, o których potem łatwo opowiedzieć. Jakbym musiała Mu udowodnić, że zrobiłam wystarczająco dużo. Wszystko to nieprawda.

Tamtego dnia było gorąco i duszno. Chroniłam się przed słońcem pod drewnianą wiatą z dachem pokrytym trawą – gazebo. I obserwowałam ptaki. Tak zwykle spędzałam czas z Jezusem. To był jeden moment między nami, gdy Bóg zrobił mi z Mozambiku dom. Jakby zmienił ustawienia mojego serca. Niezaprzeczalna zmiana. Siedziałam tam, w kraju, do którego Bóg mnie zawołał.

Kraju, o którym nic nie wiedziałam. Którego języka nie znałam. W którym byłam od nieco ponad dwóch tygodni i tyle też czasu trwały jedyne znajomości, które tam miałam, w większości z białymi misjonarzami. I to poczucie nie do wyjaśnienia, że jestem w domu. A na myśl o Polsce, że wracam tam tylko na jakiś czas.

Myślałam, że to będą lata. Po powrocie do Polski jej realia już nie były moimi, choć przecież znałam je tak dobrze. Wróciło poczucie niepasowania do miejsca. Tym razem jednak dobrze wiedziałam, gdzie jest to, do którego należę. Na początku 2017 roku zaczęłam modlić się i pościć, żeby jaśniej wiedzieć, co Bóg dobrego dla mnie zaplanował. Wysłałam z tego czasu z Nim z przekonaniem, żeby jechać do szkoły misyjnej Harvest School of Missions do Mozambiku. I jeszcze, żeby przed wyjazdem zrezygnować z pracy w fundacji, bo tam zostanę. Obie rzeczy, o których usłyszałam, były niemożliwe.

Najpierw policzyłam, ile pieniędzy potrzebuję na wyjazd. Wyszło około 30 tys. złotych. Szkoła, bilety lotnicze, wizy, własne wydatki itd. Na koncie tyle, ile potrzebowałam na życie w danym miesiącu. Potem przyjrzałam się procesowi rekrutacji i napisałam mejla, że chciałabym zostać misjonarzem z Iris Global w Pembie. Pozwólcie, że wyjaśnię. Tę szkołę misyjną w tamtym czasie dwa razy w roku kończyło ok. 500 osób. Moja szkoła była 27. Wiele z tych osób chciało być misjonarzami właśnie w Pembie. A ja napisałam mejla o tym, co powiedział mi Bóg. Odpowiedź była miła. Że muszę najpierw skończyć szkołę. I żeby służyć w Pembie, muszę mieć wyższe wykształcenie w dziedzinie, w której będę służyć. Oraz że otwartych miejsc jest bardzo mało ze względu na restrykcje wizowe.

Rozpoczęłam przygotowania. Mówiłam ludziom, że lecę do Mozambiku i że tam zostanę. Danieli, która była prezesem fundacji, powiedziałam, że odchodzę. Wypowiedziałam umowę na wynajem mieszkania w

Łodzi. Wszystko to bez pieniędzy potrzebnych na wyjazd, bez pewności, że będzie jakakolwiek możliwość, żebym została w Pembie, nawet bez decyzji, że zostałam przyjęta do szkoły misyjnej.

Czasem znów czułam się tak, jakbym spadała. Pamiętam momenty, gdy nagle przychodziło uczucie obezwładnienia spośród zwykłych czynności. I zaraz za nim panika. Najbardziej bałam się o swoją stabilną reputację, jak ją wówczas nazywałam. Co pomyślą ludzie, kiedy nie stanie się to, o czym im opowiadam. Wtedy za każdym razem skupiałam się na Nim, a On mnie uspokajał. I przekonywał, żeby o tym, co On robi mówić od samego początku. Nawet jeśli jeszcze nic nie widać. Często wtedy Mu powtarzałam, że to nie był mój pomysł. Przypominałam, że to On musi zapłacić za wyjazd i utworować mi drogę. Że ja mogłabym pojechać do tej szkoły za kilka lat, gdy zarobię na nią pieniądze. I że to On wybrał inny czas, na który nie jestem w stanie

odpowiedzieć według własnych zasobów. Mówiłam, jakby Bóg nie wiedział. Tak naprawdę do siebie.

Któregoś razu spędzając czas z Jezusem, zobaczyłam Go jak siedzi na polu. Jedną nogę miał wyprostowaną, drugą zgiętą. Na kolanie oparł rękę. W ustach trzymał źdźbło trawy. Uśmiechnął się do mnie, a potem powiedział: “To co, lecimy do Mozambiku?”

Płakałam. Wiedziałam, że już wszystko załatwione. Że On mnie tam zabiera. Kilka dni później otrzymałam ponad 16 tys. zł od osoby, której nie powiedziałam nic o moim braku. Później ona wyjaśniła, że Bóg poprosił ją, by wszystkie swoje oszczędności oddała właśnie mi. To zresztą były jej oszczędności na szkołę misyjną, tę samą, do której planowałam swój wyjazd ja. Ale i ją Bóg zaopatrzył. Kilka miesięcy później spotkałyśmy się w Pembie.

Pamiętam, że zaraz gdy przyleciałam do Mozambiku, zajęłam się obmyśleniem, w jaki sposób Bóg mógłby spełnić swoją obietnicę i jak ja mogłabym Mu w tym pomóc. On powiedział, że miejsce dla mnie jest gotowe. I żeby tylko z Nim być. Pamiętam też jak na pierwszym wspólnym spotkaniu naszego małego domku (mieszkaliśmy po kilka osób w jednym) podzieliłam się tym, jak Bóg powiedział, że tu zostanę. I ciszę z jaką zostało to przyjęte.

Kilka dni później mieliśmy wybierać, gdzie chcemy służyć podczas trwania szkoły. Myślałam o byciu z człowiekiem. O bezpośrednim kochaniu. Kiedy czytałam listę opcji, mój wzrok zatrzymał się na możliwości pomocy w biurze finansowym. Pierwsza reakcja: “O nie! Nie przyleciałam na inny kontynent, bo Bóg mi tak powiedział, żeby teraz spędzać czas w biurze!” Czytałam dalej. Ale serce bez sensu, jak wówczas myślałam, wracało właśnie do finansów. Po kilkunastu minutach poddałam się. Jaki był

sens w niesłuchaniu Boga, który przyprowadził mnie aż tutaj?

Dwa razy w tygodniu, z jeszcze jedną osobą, w pomieszczeniu półtorej metra na dwa, bez klimatyzacji, wiatraków i czasem światła, porządkowałyśmy kilkaset zakurzonych kopert z kilku ostatnich lat. Nie wiem ile razy w tamtym czasie pomyślałam, co ja tutaj robię. Jasne, fajnie, że mogę pomóc. Ale nie tak wyobrażałam sobie kochanie drugiego człowieka w Afryce. “To, że tu jestem, jest bez znaczenia” – myślałam. Aż do momentu, kiedy dyrektor operacyjny Iris Pemba poprosił mnie na rozmowę. Mówił, że słyszał, że chciałabym zostać w Pembe jako misjonarz długoterminowy. Pytał o wykształcenie. Opowiedział, kogo potrzebują w biurze. Dzień wcześniej Bóg dał mi sen o pięknych skórzanych sandałach, które kupiłam, ale po chwili noszenia obtarły mnie. Wiedziałam jednak, że to nic. Skóra się rozchodzi. I tak dzień później ktoś otwiera przede mną tę możliwość, o której Bóg mówił od początku. Zostać w Mozambiku.

Znów, nie tak wygodnie, jakbym sobie życzyła. Matematykę zostawiłam za sobą zaraz po studiach, podczas których odkryłam, że bardziej niż liczby interesują mnie ludzie. Ale tak, jak na tamten czas było to możliwe. (Pamiętacie, że trzeba było mieć wykształcenie w dziedzinie, w której się służy? Jestem mgr inż. matematyki.)

Gdy kilka tygodni później wylatywałam z Mozambiku, miałam już bilet z powrotem. Część swoich rzeczy zostawiłam w pokoju, gdzie miałam mieszkać, gdy wrócę. Za nieco ponad miesiąc byłam znowu w Pemie. To był styczeń 2018 roku.

Nie mogłam wówczas wiedzieć, że w Mozambiku już zostanę. Ani tego, że rok później będę żoną, a dwa lata później mamą. Że Bóg mi powie, by po dwóch latach odejść z organizacji, gdzie służyłam i założyć nową razem z mężem. Nie podejrzewałam też, że przeprowadzimy się do innego miasta. Ani tego, że będę o tym wszystkim

pisać. I jeszcze wielu innych rzeczy, o których ciągle nie wiem. To jedno jest moją stałą - chodzę za Nim.

Rozdział, który jest Twój

Chodź za Nim

Napisałam i oddałam tego e-booka z jedną myślą i modlitwą - żebyś gdzieś między moimi słowami spotkał/-a Boga. Bez względu na to, czy wierzysz Mu już długo, czy zaprzeczasz temu, że On w ogóle jest, modlę się o to samo - o bliskość realnego Boga. Tego, który z miłości oddał za Ciebie swojego Syna - Jezusa. Jezusa, który mimo strachu i bólu nie zmienił decyzji i umarł za Ciebie. Jakiś czas temu ktoś napisał do mnie wiadomość, że Bóg jest tak wymagający. Odpowiedziałam, że wszystko, czego od nas wymaga, to w Niego uwierzyć. Dać wiarę temu, że Ktoś tak nas ukochał. Inne starania są niepotrzebne. Modlę się, by ten e-book był małym początkiem Twojego chodzenia za Bogiem. Najlepszej decyzji, jaką można w życiu podjąć. Zawołaj do Niego. Teraz, gdy czytasz te słowa. Taki/-a, jaki/-a jesteś. Bez wstępów, przygotowań, specjalnej przestrzeni.

Teraz - to dobry czas na spotkanie.

Rozdział, który jest wierszem

To już było

Ten wiersz to dobre wieści. Dla Ciebie i dla mnie. Ten wiersz służy do zatrzymania się. I do przychodzenia. Do Boga. Czytaj powoli. Raczej bądź niż czytaj. Zostaw na chwilę wszystko, co znasz lub o czym słyszałeś/-aś. Nie tyle myśl i analizuj, co pozwól Jemu dotknąć wprost serca.

To już było

To już było, na krzyżu.

Nie muszę więcej bać się o wszystko, co mogłoby się zdarzyć jutro. Planować bezpieczeństwa mojego i mojej rodziny. Zapobiegać ze ściśniętym gardłem rzeczom złym. Ze zmartwienia robić rutyny. Pielęgnować obaw o sprawy, które nie są w zasięgu mojej ręki, nawet dzisiaj.

Mogę, ale nie muszę.

Głupstwem ta wiadomość od Ciebie. Nie wpisuje się w

kanony dzisiejszej myśli światowej. Ani żadnej wcześniejszej. Jest nie do pojęcia przez tych, co coś znaczą. Trzeba dojść do któregoś końca siebie, żeby ją zrozumieć. O porozumienie serc zabiegasz. Człowieka szukasz. Zdejmujesz z niego formy i sprawdzasz, czy w środku jest już jakiś miękki obszar podatny na Słowo.

I mówisz, że to już było. Na krzyżu.

Zaplanowane misternie po nocach nieprzespanych z miłości do człowieka. Plan na ratunek, zapowiadany latami. Jezus.

Życie bez sukcesu. Trzydzieści lat nikt o Nim nie słyszał, choć przecież okoliczności nie do pojęcia przywiodły Go na ziemię. Urodzony w stajni. Pominięty. Umarł przedwcześnie, zabity.

Ulubione zajęcia: rozmowy z Ojcem, uzdrawianie chorych, wypędzanie demonów, jądanie z celnikami i

prostytutkami, nauczanie z mocą, wytykanie hipokrytom.
 Zdarzało się, że chadzał po wodzie. Największe
 dokonania: śmierć i zmartwychwstanie. Skazany za:
 niepoliczalne winy ludzkości i ani jednej własnej.
 Odłączony od Ojca na prawie trzy doby; płakał gorzko tuż
 przed rozstaniem.

To było poruszenie po fundamenty świata. Aż zadrżał.

Nie mogli znaleźć jego ciała.

Co się stało na krzyżu? Życie.

Bez krzyża to my bylibyśmy straceni. Winni każdej złej
 myśli, każdego słowa, uczynku. Za najmniejszą
 niedoskonałość zapłacili śmiercią. Byli niewystarczający
 nawet przy najszczerzych chęciach. Bez prawa
 przebywania blisko Świętego Boga, w tych naszych
 grzechach.

Więc Jezus zebrał je wszystkie, co do jednego i zapłacił za nas cenę - Swoje życie. Drogo kosztowaliśmy.

Nie mogli znaleźć jego ciała. Zmartwychwstał!

To już było, na krzyżu. Przebaczenie grzechów. Dostęp do Boga Ojca. Uratowanie. Uzdrawienie dusz. Uzdrawienie ciał. Uwolnienie. Zabezpieczenie. Ochrona. To już było, na krzyżu. Zbawienie.

Można po nie sięgnąć wiarą.

"Bo jeśli ustami wyznasz, że Panem jest Jezus, i uwierzysz w swym sercu, że Bóg wzbudził Go z martwych, będziesz zbawiony. Bo wiara płynąca z serca zapewnia sprawiedliwość, a jej wyznanie ustami zapewnia zbawienie. Dlatego zbawiony będzie każdy, kto wezwie imienia Pana." (Rzymian 10:9-10,13)

Zbawienie nie jest tylko o życiu po śmierci. Zbawienie jest

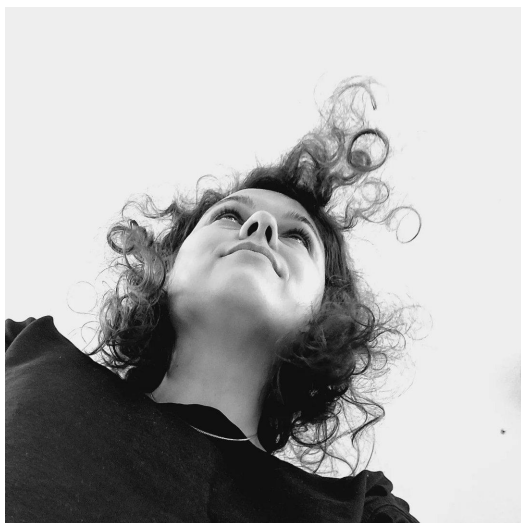
również o życiu za życia. Ewangelia nie jest tylko dobrą wiadomością dla grzesznika. Ewangelia jest świętą wiadomością dla tego, kto już Mu wierzy długo.

Zwykłam walczyć o wszystko. A wystarczy odpoczywać.
W zwycięstwie, które jest Chrystusa.

To już było, na krzyżu.

Nacala, 1 kwietnia 2022

Kim jest Ania



Nazywam się Ania
Dąbrowska-Rafael.
Zajmuję się
kochaniem. Nie
dlatego, że umiem
kochać tak dobrze,
ale dlatego, że Bóg
mnie ukochał i
uzdolnił do

rozwinięcia i rozdawania dobrego, które otrzymałam.
Jestem w drodze. To znaczy, że mój dom jest tam, gdzie
akurat mieszkam. To znaczy, że codziennie uczę się
kochania. I jeszcze, że wiem gdzie iść, bo chodzę za Nim.

Najbardziej w tej drodze lubię, że miłość Boga nie zna
granic zdrowego rozsądku. Ani granic własności, ani
granic czasu, ani tego, co wypada. Mój Bóg jest rozrzutny

w kochaniu – kocha, choć bywa odrzucany, kocha, choć człowiek już dawno by przestał. Mój Bóg nie liczy zysków i strat. Tak chcę kochać.

Lubię też spotykać drugiego człowieka. Las. Zimne polskie morze. Szelest liści bananowca. Gapić się w niebo. Chodzić boso. Jestem czuła na słowa.

Uczyłam się wielu rzeczy, co dziś bardziej niż kiedyś doceniam. Ukończyłam Matematykę Stosowaną na Politechnice Gdańskiej, Podyplomowe Studium Dziennikarstwa na Uniwersytecie Gdańskim, Polską Szkołę Reportażu w Warszawie i szkołę biblijną Charis Bible College w Łodzi oraz Harvest School of Missions w Pembe w Mozambiku.

Zanim zaczęłam kochać na pełen etat zajmowałam się pisaniem (Dziennik Bałtycki, Magazyn Chrześcijański Cel, Magazyn Reporterski Rejsy, Wirtualna Polska), byłam managerem w centrum medycznym oraz

projektowałam wnętrza w firmie, którą założyłam z bratem. Pomiędzy tym pisałam blogi i tworzyłam strony internetowe.

Pod koniec 2015 roku rzuciłam dość ułożone życie, by wyruszyć w podróż kochania. Zaczęłam pracę w Fundacji You Can Free Us Polska, która w tamtym czasie pomagała ofiarom handlu ludźmi. Uwalniała kobiety i towarzyszyła im w drodze do uzdrowienia i samodzielności. W międzyczasie byłam w podróżach misyjnych do Indii i Mozambiku. W styczniu 2018 roku przeprowadziłam się do Mozambiku (Pemba), gdzie jestem misjonarką. Od lutego 2019 kochamy razem z mężem, a w lutym 2020 dołączył do nas synek. Obecnie mieszkamy w Nacali.

Rocznik '86.

Gdzie szukać Ani

Strona internetowa

annadabrowska.org

Media społecznościowe

Moje teksty, wyjątki z życia.

[Facebook @anna7dabrowska](https://www.facebook.com/anna7dabrowska)

[Instagram @mama_misjonarka](https://www.instagram.com/mama_misjonarka)

Kolaże słowne, które tworzę po czytaniu Słowa.

[Instagram @po_slowie](https://www.instagram.com/po_slowie)

Moje teksty w języku angielskim.

[Instagram @mindthegap_writings](https://www.instagram.com/mindthegap_writings)

Wszystko, co najważniejsze

[Linktr.ee @ania_dabrowskarafael](http://linktr.ee/ania_dabrowskarafael)

Ten e-book jest za darmo

Choć poświęciłam wiele czasu na stworzenie tego e-booka, oddaję Ci go za darmo. Dlaczego? Bo ta historia nie jest moja, ale Boga. To On mnie odnalazł i zaprosił do życia z Nim. Wszystko, co na tej drodze miałam i mam, otrzymałam. To, kim jestem i kim się staję, zawdzięczam Jemu. Nawet to, że umiem o tym napisać, jest Jego podarowanym mi talentem. Kiedy w 2017 roku zakładałam bloga, Pan powiedział mi, żebym pisała o tym wszystkim, czego doświadczam z Nim, by nikt nie miał wątpliwości, komu należy się chwała. Dlatego przekazuję dalej to, o czym On do mówi i co robi.

Niech się szerzy Jego Królestwo. Aż znów przyjdzie.

Gdy na któreś ze słów coś się w tobie poruszyło, daj znać - napisz do mnie wiadomość. (Kontakt do mnie znajdziesz w poprzednim rozdziale: Gdzie szukać Ani). Dziel się tym

e-bookiem, jeśli uznasz, że komuś może okazać się potrzebny. Możesz też udostępniać jego fragmenty w swoich kanałach na mediach społecznościowych. Wówczas proszę, daj odnośnik do mnie bądź mojej strony internetowej.

Poszerzajmy razem Jego Królestwo. Aż po zdumienie, że istnieje ten świat.

Pisanie

Jeśli przeczytałeś/-aś tego e-booka lub czytasz inne moje teksty na blogu czy w mediach społecznościowych i chciałbyś/-abyś wesprzeć mnie jako twórcę, możesz to zrobić tutaj: <https://buycoffee.to/anna7dabrowska/>.

Działania misyjne

Jeśli szczególnie dotyka cię nasza działalność misyjna w Mozambiku i chciałbyś/-aabyś wesprzeć nasze życie w Afryce lub przelać darowiznę na któryś z naszych

projektów, zapraszam po szczegóły na moją stronę internetową: [Wsparcie działań misyjnych w Mozambiku](#).

A jeśli chciałbyś/-ałaś słuchać mojej opowieści dalej, napisz do mnie (na adres anna7dabrowska@gmail.com lub poprzez media społecznościowe), podając w treści swój adres mejlowy. Możesz też wypełnić formularz na stronie annadabrowska.org. Co jakiś czas wyślę Ci z Mozambiku cyfrowy list.

Dziękuję za poświęcony czas. Dziękuję, że jesteś!

Liczę, że spotkamy się gdzieś w dalekim świecie albo całkiem bliskim, w Polsce. Gdzie by to nie było, niech się stanie i mi, i Tobie - zawsze w drodze za Nim.

chodzę za Nim

IDZIESZ?

